

УДК 82.01

Eugeniusz CZAPLEJEWICZ

profesor, doktor habilitowany
Akademia Humanistyczna im. A. Gieyszтора,
Uniwersytet Warszawski

ROMANTYCZNE AMBIWALENCJE – Z DYSTANSU¹

Autor artykułu omawia trzy kwestie, na które się składa problematyka romantyzmu: charakter konkretnego zjawiska, idea romantyzmu, diagnoza współczesności. Najbardziej zdumiewającym jest według autora jest gatunkowe podobieństwo romantyzmu do kameleonu.

Dyskurs o romantyzmie jest w Polsce wciąż szalenie zagmatwany i pełen emocji. Prawie każda dyskusja nie tyle rozstrzyga wątpliwości dotychczasowe, ile ujawnia nowe niejasności i zwiększa dramatyczne napięcia. Zwykle budzi także jakieś dreszcze, acz te nie zawsze bywają przecież miłe, a tym bardziej zdrowe.

Inaczej być chyba nie może, skoro nie ma nawet takiej pewności, czy romantyzm [parafrazując Cypriana K. Norwida, który jako polskie źródło „skrzydlatych” cytatów stał się od pewnego czasu dobry na wszelkie okazje] to Dziś, czy też – „cokolwiek dalej”.

Tymczasem wsłuchując się w toczone współcześnie dysputy nie tylko publicystyczne, lecz i naukowe [zazwyczaj zresztą z ogonem publicystycznym], trudno nie zauważyć, iż nader często na problematykę romantyzmu składają się w nich co najmniej trzy kwestie, które wprawdzie splatają się ze sobą bądź przeplatają, ale różnią się na tyle, by je wyodrębnić i z osobną wskazać. Pierwsza kwestia – może tym razem niezbyt istotna, ale jednak nie do pominięcia – dotyczy charakteru konkretnego zjawiska (prądu, kierunku itp.) romantyzmu; kwestia druga – odnosi się do idei romantyzmu, ich trwałości i produktywności, funkcjonowania i wartości; trzecia kwestia zajmuje się nie tyle historycznym przedmiotem obserwacji badawczej, ile diagnozą współczesności. Współczesności jako niezbędnego dla obserwującego *hic et nunc* układu odniesienia, określającego punkt/y widzenia [dzisiejszego] badacza i możliwy, jeżeli nie jedynie dostępny dla niego, horyzont obserwacyjny.

Co do pierwszej kwestii muszę wyznać, że zdumiewa mnie od dawna – taktownie przemilczane przez „naromantyzowany” naród – gatunkowe podobieństwo romantyzmu do najsławniejszej jaszczurki, obdarzonej cechą zazwyczaj przysługującą bogom, zwanej (z gr.) kameleonem [co dosłownie

¹ Tekst *Romantyczne ambiwalencje – z dystansu* jest zmienioną i rozszerzoną wersją artykułu drukowanego (bez wyróżnień) pt. *Opinogórski apel ekologiczny (głos o jaszczurce, kuźni przy gościńcu i wysychających studniach)*, w półroczniku: „Artes Liberales” [Zeszyty Naukowe Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieyszтора] z. 1–2 (8–9) 2010 [Pułtusk]: *Romantyzm i edukacja*, dział zatytułowany „Głos pod rozwagę”, s. 265–273.

tlumaczy się: *lew na ziemi*]. Koncentruje się ono, oczywiście, na powszechnie znanej zdolności do zmiany ubarwienia, stosownie do swego stanu fizycznego i emocjonalnego, jak również w celu interpersonalnej komunikacji – porozumiewania się z innymi osobnikami. Ale podobieństwo ogarnia też mnóstwo innych właściwości, jak stosowanie mimetyzmu [kameleony mogą przybierać kształt niektórych przedmiotów z otoczenia], w razie niebezpieczeństwa nadymanie się powietrzem, polowanie za pomocą języka, bardzo długiego i lepkiego, szerokiego na końcu (przez błyskawiczne wyrzucanie nim w kierunku ofiary na znaczną odległość), trzymanie się „swoich” terytoriów i dzielna ich obrona – za pomocą właśnie języka – przed wrogiem bądź tylko intruzem. Krótko mówiąc, o ile indywidualnej ekspresji i wzajemnej komunikacji służy kameleonem zmienne ubarwienie, o tyle językiem toczą one „walki lwów” – w ataku i obronie – oraz uprawiają sztukę „lwich łowów”, nie stroniąc bynajmniej od efektownych masek czy wyrafinowanego podstępu.

Jak widać, wiele właściwości kameleona da się z łatwością odnieść do romantyzmu. Nie powinien być obojętny dla tego ostatniego choćby fakt, iż kameleon został naukowo zaklasyfikowany do typu (zwierząt) określonego muzycznie: strunowce. W istocie romantyzm znacznie więcej miał cech kameleona niż właściwości przypisywanych mitologicznemu Proteuszowi z wyspy Faros czy Karpatos. Ten niezwykle popularny w czasach romantyzmu syn Okeanosa i Tethys, w służbie Posejdona [jako stróż stada jego fok], gdy był spętany, również przemieniał się niczym kameleon – tyle że w potwory. Zresztą umiejętność dokonywania metamorfoz wcale nie była rzadka w świecie mitologicznym i magicznym ani Greków i Rzymian, ani np. Egipcjan, pewnie dlatego została wykopiona w tak arcydzielnych utworach wieku II n. e., jak *Lukios, czyli Osioł* Lukiana z Samosat czy *Metamorfozy albo złoty osioł* Apulejusza z Madaury. Wszelako Proteusz, w przeciwieństwie do kameleona, odznaczał się jeszcze darem wieszczania – ogromnie cenionym przez romantyków.

Zatem kameleonowy, czyli w konsekwencji zoomorficzny, charakter romantyzmu nie tylko nie wyklucza, ale i nie chce do końca wykluczyć, pierwiastka Proteuszowego o proveniencji mitologicznej i magicznej. Natomiast uzupełnia i równoważy, czasem wręcz przeważa. A sprowadzając tym samym – za pomocą jakże barwnej i urokliwej egzotyki – romantyzm z niebotycznych wyżyn na ziemię, delikatnie acz dobitnie go naturalizuje i w efekcie przekształca też jego urodę – z całkowicie nierzeczywistej, nazbyt wyidealizowanej i uduchowionej – niczym Dziewczyna z *Dziadów cz. II* – na urodę bardziej z tego świata, cielesną. Nie bez powodu nasza dobra znajoma, „duszczyka” owej Dziewczyny, po śmierci utyskuje, że za życia „Nigdy na ziemskiej nie spoczęła błoni”, gdy tymczasem do szczęścia niebieskiego potrzebowałaby pilnie, choćby zaraz, dziarskich młodzieńców, by w realu „poigra[ć] chwilkę z niemi”. Wszakże na tak nieprzystojne pragnienia pośmiertne „pięknej dziewicy” długo jeszcze w polskim romantyzmie odpowiedź musi być tylko jedna: żadna nawet „modlitwa nic nie zjedna” – pozostaje cierpieć i czekać. W każdym razie znacznie dłużej niż przewidywał Guślarz [vide w tej materii głos „późnego wnuka”, Leśmiana, zwłaszcza jego *Zdziczenie obyczajów pośmiertnych* i *Dziejbę leśną* z lat 30. wieku XX].

Ale polimorficzny, wielokształtny charakter kameleonowy i proteuszowy romantyzmu to jeszcze mało. Romantyzm był w całej swej istocie wielością i różnorodnością.

Albowiem romantyzm – by nie wdawać się tutaj w zawiłości starego sporu o uniwersalia – to więcej niż uogólnienie, bo – jak się dzisiaj z lubością powiada – „skrót myślowy”, czyli w przybliżeniu: daleko idące uproszczenie. Warto przypomnieć to, co dobrze znamy, ale czasem chętnie zapominamy, że w rzeczywistości (historycznej) nigdy czegoś takiego – jednego i jednolitego – nie było. Istniało co innego: wiele romantyzmów rywalizujących ze sobą mniej lub

bardziej ostro i spierających się, jak Mickiewicz ze Słowackim, Słowacki z Mickiewiczem i Krasińskim, Krasiński ze Słowackim i Mickiewiczem, czy Norwid z nimi wszystkimi w ogólności, a Mickiewiczem w szczególności. Na dobrą sprawę nie było zresztą nawet jednego Mickiewicza, lecz kilku: ten od *Ballad i romansów* oraz *Dziadów* wileńsko-kowieńskich, ów od *Konrada Wallenroda*, ten od *Dziadów cz. III*, a tamten od *Liryków lozańskich*, inny od *Pana Tadeusza*, jeszcze inny od *Zdań i uwag*. Wszak i w *Prelekcjach paryskich* wykładowca niby ten sam, ale „Mickiewiczów” mamy na pewno więcej. Przecież Urząd Boży Koła Sprawy Bożej z końcowych wykładów bardzo mało przypomina wykładowcę z początkowych. Obaj prawie zupełnie są niepodobni do Mickiewicza z *Wykładów lozańskich* czy ze *Stambułu*. *Ubi est Mickiewicz!?*

Wbrew pozorom początek Epilogu *Pana Tadeusza* zawiera chyba nie tyle utyskiwania świeżo przybyłego emigranta na atmosferę „na paryskim bruku”, ile trafną i szczerą do bólu autocharakterystykę romantyzmu dotykającą samej istoty fenomenu, choć świadomie antytetyczną wobec księgi XII *Kochajmy się!* epepei. Romantyzm w świetle tej autocharakterystyki jawi się jako zjawisko wielce skomplikowane i piekielnie zapętlone, wręcz niesamowite:

<...> pełne stuku
Przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów,
Zapóźnych żalów, potępieńczych swarów! (...)
Nie dziw, że ludzi, świat, siebie ohydzą,
Że utraciwszy rozum w mękach długich,
Plwają na siebie i żrą jedni drugich!

Innymi słowy, „żywy” i autentyczny romantyzm to – w ujęciu wielce aktywnego uczestnika i życzliwego obserwatora – „utrata rozumu”, kłótnie i dynamiczne metamorfozy, kłębowski emocji i zaciętrzewienia, dialog tak żywiołowy, że doprowadzony do stanu wrzenia, szaleństwa, a w końcu i swego przeciwieństwa – stadium „bij-zabij” [„żrą jedni drugich”]. W sumie – kompletna dezintegracja i skrajna destrukcja.

Nie lekceważyłbym tej autocharakterystyki. Nawet znane idee – bo przechodzimy tu do drugiej kwestii – brzmiące pięknie, szlachetnie i wzniośle, wydają nadspodziewanie szybko owoce często kwaśne lub gorzkie. Już w tej samej, romantycznej, epoce niektóre ważne idee, np. jednostki i indywidualności z ich wymiarem przede wszystkim duchowym, wewnętrznego doskonalenia przez oczyszczenie duchowe, braterstwa czy wolności, w Kole Sprawy Bożej posłużyły do zbiorowej nagonki, wręcz wojny psychologicznej, stając się sprawnym narzędziem zniewolenia totalnego i na swój sposób totalitarnego każdego właściwie uczestnika owego Koła (z wyjątkiem Mistrza). W szczególności zaś instrumentem okrutnego pastwienia się psychicznego, moralnego i religijnego nad Mickiewiczem, potępianym i napiętnowanym jako zbrodniarz gorszy i bardziej niebezpieczny od cara Mikołaja, nie tyle nawet opętany przez diabła, ile po prostu – Szatan wcielony [co kapitalnie opisał niedawno Krzysztof Rutkowski, zwłaszcza w książce *Braterstwo albo śmierć. Zabijanie Mickiewicza w Kole Bożym* (Paryż, 1988)]. Potem nie zawsze bywało lepiej.

Co najmniej wątpliwe, obarczone ambiwalencją, okazywały się w skutkach także inne modne wówczas idee. Takie jak przesadna gloryfikacja i mitologizacja narodu lub „wspólnot wyobrażonych”, a w konsekwencji – by tak rzec – aksjologiczna nadprodukcja „tożsamości zabójczych”, czy krok jeszcze dalej – mesjanizm narodowy, fanatycznie przywiązany do koncepcji „wybranego narodu”, oczywiście własnego, i jego szczególnej misji dziejowej i pozadziejowej, światowej i zaświatowej; kult martyrologii, a więc nie życia, lecz śmierci i męczeństwa – w imię idei bądź wartości, np. wiary, ojczyzny, narodu, honoru [por. „Bóg, Honor i Ojczyzna” czy modlitwę o Wojnę Powszechną]; zaś w ślad za wielowymiarowym

swoistym narcyzmem, jakby „autocentryzmem”, ideologiczne uprawomocnienie ksenofobii wieloazymutowej, bo kierowanej przeciw innym nacjom, narodom, wyznaniom, kulturom etc. Przykład Krasieńskiego, świetnie opisany niedawno choćby w rozprawie Jerzego Fiečki *Rosja Krasieńskiego. Rzecz o nieprzejednaniu* (Poznań, 2005), jest w tym względzie szczególnie symptomatyczny i wymowny. Dowodzi w sposób niepodlegający dyskusji, że nie są to bynajmniej problemy romantyzmu tylko marginalne czy incydentalne. Przeciwnie – stanowią one składnik immanentny, sięgający fundamentów myślenia romantycznego. Pokazuje bowiem, iż nietuzinkowe w końcu „nieprzejednanie wobec Rosji i Rosjan” przekracza u Krasieńskiego wszelkie granice wynikające z historycznej konfrontacji polsko-rosyjskiej. Ogarnia bowiem u niego zarówno wymiar intelektualny: koncepcję historiozoficzną eksponującą mongolizm, bizantyzm i barbarzyństwo azjatyckie w ogóle, jak też wymiar mistyczny. Dzięki temu na teorię historiozoficzną nakłada się mesjanistyczna koncepcja Wroga jako „imperium Zła”, zdominowanego kompletnie przez Szatana i wszystkich możliwych szatanów, oraz jako wcielonej Bestii zapowiedzianej przez Apokalipsę. Ale nie waha się przed aktywizacją także poziomów „niskich” i „najniższych” – stereotypu rusofobicznego przeładowanego niebotyczną nienawiścią, wręcz obsesji patologicznej, by nie rzec: paranoicznej. I to mimo faktu, iż jednocześnie myślenie romantyczne, zwłaszcza polskie, sporo mądrości zaczerpnęło m.in. od Mirzy w *Sonetach krymskich*, patriotyzmu uczyło się na koncertach Jankiela, historię rekonkwisty poznawało od Maurów strony z ballady *Alpuhara*, obcowania żywych i umarłych podczas obrzędu dziadów sprawowanego przez Guślarza, a z kolei wzorce poetyckie, poetykę arabskiej kasydy czy gazela, przejmowało bez wahania z „arabskiego”, ściślej: z dywanów klasycznej poezji nowoperskiej – żeby ograniczyć się tylko do wybranych przykładów i to wyłącznie z Mickiewicza.

Zatem wielości i różnorodności romantyzmu czy romantyzmów odpowiada istna mnogość i wieloznaczność czy polifoniczność idei romantycznych. Tyle ich, tych idei, że można by obdzielić nimi dowolną epokę, wszystkich, którzy tego zapragną. Mnogość tym większa, że niektóre idee, zwłaszcza chyba romantyczne, z zadziwiającą łatwością ulegają stereotypizacji. Z jednej strony stereotypizacja jawi się tu produktem „przemysłowym” takiego uogólnionego, wbrew swej notorycznie heterogenicznej, polifonicznej, polimorficznej i poliwalentnej „naturze”, pojęcia romantyzmu czy poniekórych jego idei bądź składników, na użytek szerokiego obiegu, w tym egalitarnej edukacji i masowego adresata. Z drugiej zaś strony stereotypizacja może pochodzić niejako z zewnątrz. Wtedy polega na narzucaniu przez daną epokę własnego konstruktów. Konstrukt tego rodzaju [narzucony], w formie schematu, szablonu itp., przedstawia ów przedmiot – tu: romantyzm – nie takim, jaki jest/był, lecz takim, jakim dana epoka chciałaby go widzieć. W efekcie stereotyp raczej zasłania i zniekształca, niż odsłania i reprezentuje. Łudzi, że „opisuje” prawdę i tylko prawdę, gdy tymczasem odwołuje się do emocji i emocje przekazuje. Podsztywa się pod idee tak skutecznie i maskuje się tak dobrze, iż niełatwo go czasem odróżnić od idei. Pozornie wzbogaca więc zasób ideowy. Jednak – jako narzędzia pospolite i poręczne substytuty idei – stereotypy bywają równie niezbędne i prawie niezastąpione, co niebezpieczne, bodaj groźniejsze od zapalek w rękach bawiących się dzieci. Wymagają przeto zawsze ostrożnego obchodzenia się. Szczególnie w egalitarnej edukacji warto podchodzić do stereotypów z nader ograniczonym zaufaniem.

Ze stereotypami tedy czy bez, trzeba przyznać, iż pod względem „ideowym” romantyzm należy z pewnością do prądów (kierunków) zasobniejszych. Dysponuje on takim bogactwem, wielorakością i różnorodnością, że doprawdy jest w czym wybierać. Pytanie: czy każda idea w równym stopniu na wybór zasługuje? Czy na pewno każdy wybór – zwłaszcza w danej epoce – może być dobry

[bezpieczny/korzystny/trafny]? W tej materii doświadczenie historyczne zalecałoby ostrożność.

Biorąc to wszystko pod uwagę, można tylko dziwić się i podziwiać, że pomimo tego rodzaju ambiwalentnych właściwości lub dzięki nim, romantyzm był zdolny generować dzieła – nie tylko literackie – olśniewającej urody, jakby kompensując niekorzystne, dramatycznie destrukcyjne, czasami wręcz fatalne, skutki psychospołeczne i polityczne. Wszak romantyczne stadium „bij-zabij”, potęgując i utrwalając w świadomości społecznej Polaków nawet – by posłużyć się określeniem Krasieńskiego – „na ścieżce do grobu” dawne warcholstwo i pieniactwo, jednocześnie głośno deklarując wartości wspólnotowe [jak braterstwo, naród, lud], posiadało swój niepokojący, wcale nie wydumany, wymiar autodestrukcyjny, samobójczy, wraz z towarzyszącym mu kultem cierpiętnictwa i męczeństwa. Nie przynosi on zaszczytu ani romantyzmowi, ani społeczeństwu, które tego rodzaju instalację – nie chcę powiedzieć: infekcję, by kogoś nie urazić – u siebie akceptuje. Nie ma przecież żadnej pewności, czy na polskim gruncie udało się go do tej pory zneutralizować, skoro spora część Polaków nie odczuwa nadal takiej potrzeby; więcej, uznaje go za kryterium np. patriotyzmu.

Wydaje się, przechodząc do kwestii trzeciej, że nasza współczesność wyróżnia się tym, iż – z grubsza biorąc – nie musi być już wobec romantyzmu ani hołdownicza i wyznawcza, niejako neoneoromantyczna, ani polemiczna i antyromantycznie wojownicza. Reliktem staje się nastawienie zarówno pierwsze, jak i drugie. Romantyzm występuje chyba w jednym i tym samym koszyku tradycji, co oświecenie, które on sam niegdyś wyzwał na udeptaną ziemię, a następnie pozytywizm czy naturalizm, które potem rzuciły jemu wyzwanie. Nawet późniejszy modernizm, w wersji młodopolskiej bądź międzywojennej, także w dużej mierze jeszcze i powojennej, nie tylko żywił się wspomnieniem romantyzmu, lecz chyba nadal był w nim, romantyzmie właśnie, zakochany po uszy. Tyle że raz zachowywał się trochę jak ów kochanek romansujący w „ogrodowej altanie” z Wojewodziną w „balladzie ukraińskiej” Mickiewicza *Czaty*, co wzruszająco wyznawał, głośnym zapewne szeptem:

„Ja na wiernym koniku, przy księżycu promyku,
Biegę tutaj przez chłody i słoty,
Bym cię witał westchnieniem i pożegnał życzeniem
Dobrej nocy i długiej pieśzcoty!”

Innym znowu razem jego miłość – wzorem choćby szekspirowskiego Leontesa z *Zimowej opowieści* – ulegała transmutacji niemal w swoje przeciwieństwo, przybierając postać dokuczliwej podejrzliwości i mściwej zazdrości.

Nasza współczesność „ponowoczesna” – bodaj jako pierwsza bez żadnych już serwitutów i presji „poprawności politycznej” czy ideologicznej – ma szansę wreszcie, dzięki dystansowi, zdobyć się na bezstronność zarówno w ocenie, jak przede wszystkim w zrozumieniu zjawiska romantyzmu – w całej jego złożoności i różnorodności. Ten dystans rozwiązuje nam dzisiaj ręce, skrępowane dotąd nader mocno obowiązującymi stereotypami i powinnościami. Oznacza to rzeczywistą możliwość swobodnego i twórczego kształtowania tradycji i jej zagospodarowanie przez wybieranie i mądre absorbowanie z romantycznego dorobku, znajdującego się w „muzeum historycznym”, tego, co okaże się współcześnie najbardziej inspirujące i może być uznane w danej sytuacji – ze względu już na teraźniejszość i/lub przyszłość, a nie znaczenie tylko „muzealne” – za wartościowe i korzystne.

Jednak praktyka pozostaje nadal bardziej złożona. Romantyzm w Polsce jest poniekąd specjalnością „narodową”, o szczególnej zatem doniosłości patriotycznej. Stąd jego wyjątkowa żywotność w różnych kręgach społecznych i politycznych do dnia dzisiejszego, przejawiająca się w okresowych niemal nawrotach, tyle że coraz bardziej stereotypowych, najczęściej groteskowych i farsowych, a niekiedy

dramatycznych. Znamienne, iż współczesność, z racji swej permanentnej różnorodności, zdaje się zresztą, jeżeli nie sprzyjać tym akurat nawrotom, to przynajmniej je tolerować.

Osobiście podziwiam romantyków m.in. za odwagę racjonalnej diagnozy ówczesnej [mowa o pierwszej połowie XIX wieku] sytuacji w dziedzinie kultury społeczeństwa na terytorium byłej Rzeczypospolitej Obojga Narodów, wskazującej trafnie, wbrew utopiom „oświeconych”, na obecność w niej cech średniowiecznych. Trafność diagnozy znajdzie po latach dobitne potwierdzenie w rozpoznaniach np. Stanisława Vincenza (*Wysoka połonina*) i Czesława Miłosza (*Dolina Issy*). Bardzo wysoko cenię romantyzm za konsekwentne dokonanie (częściowo śladem baroku) odkrycia średniowiecza 300 lat po Wielkich Odkryciach Geograficznych – w dobie już zaawansowanej w wielu krajach Europy nowożytności. Zaowocowało to, upierałbym się przy tym twierdzeniu, nie tylko dowartościowaniem estetycznym oralnych pierwiastków „lokalnej” kultury ludowej [folkloru], ale także – dzięki przyswojeniu poetyckich form o rodowodzie średniowiecznym [jak ballada, romanca, sonet] i arcydzieł epickich [w rodzaju *Boskiej komedii* Dantego czy *Pieśni o Cydzie*], w połączeniu z elementami orientalnymi – niebywałą świeżością i urodą artystyczną zwłaszcza poezji – i ogólniej: literatury – romantycznej, jak również dramatu i teatru, tańca i muzyki czy sztuki ogrodów.

Należy jednak żałować, że romantyczne odkrycie nie objęło:

– Ani średniowiecza uniwersytetów [w samej tylko Italii XII–XIV było ich co najmniej 10], licznych madras [np. w Fezie, Kairze, Damaszku, Marrakeszu, nawet Timbuktu], bibliotek [np. 70 w Kordobie, w tym największa wówczas na świecie: Al-Hakama] i szkół tłumaczy [w Bagdadzie czy Toledo].

– Ani średniowiecza budowniczych katedr, zamków czy innych osiągnięć inżynierijno-technicznych. O ówczesnych fascynacjach nowinkami technologicznymi najlepiej świadczy fakt, iż syn Abélarda i Heloizy, owoc ich zakazanej miłości urodzony w roku 1118, nazwany został imieniem Astrolabium. Wcześniej zaś o astrolabium jako rewelacyjnym wynalazku służącym do wyznaczania położenia ciał niebieskich pisał znany dobrze (przynajmniej potencjalnie!) Polakom i Węgrom papież [999 – 1003] Sylwester II (*Księga astrolabium*), dzięki studiom w zarabizowanej Hiszpanii, wybitny znawca matematyki, astronomii, alchemii, filozofii i mechaniki, wielki propagator olśniewających osiągnięć arabskiej nauki i myśli [podobno pierwszy w Europie używał cyfr arabskich], umysł świątły i twórczy, wszechstronny uczonec, konstruktor i wynalazca. A u schyłku epoki wielki poeta angielski Geoffrey Chaucer (~1340 – 1400) będzie tworzył swój [niedokończony] *Traktat o astrolabium*.

– Ani średniowiecza niestabilnego terytorialnie i przestrzennie, permanentnie ruchliwego, płynnego, nieomal wręcz „przelotnego”. Epoki nieustannych wypraw, ekspedycji, pochodów, jak gdyby wtędy wszyscy byli (zawsze) na jakimś szlaku lądowym lub morskim – plemiona, szczepy, religie, wojownicy i kupcy, handlarze i rzemieślnicy, poszukiwacze przygód i łupów, zakonnicy i pielgrzymi. Życie toczyło się niejako w drodze – raczej w karawanach niż w miastach, grodach czy „miejscowościach”, które funkcjonalnie były najczęściej (bo z nielicznymi w końcu wyjątkami) przystankami, przydrożnymi zajazdami, mniej lub bardziej okazałymi karawanserajami. Dość przypomnieć tutaj choćby

[a] terytorialną „nieuchwytność”, nieomal teleportację, Wikingów / Normanów / Waregów,

[b] zapewne bardziej długotrwały, bo już od III/II w. p.n.e. bodaj aż do XVII w.n.e., jednak w średniowieczu szczególnie intensywnie eksploatowany, słynny Szlak Jedwabny. Wcale zresztą nie pojedynczy, lecz będący właściwie złożonym systemem komunikacyjnym łączącym ze sobą 3 kontynenty [Azji, Europy i Afryki]. Albo mniej u nas znaną Drogę Zubajdy długości ok. 1500 km z Bagdadu przez pustynie do Medyny i Mekki, zbudowaną starannie (co ok. 25 km karawanseraje ze

studniami i jadalniami) na potrzeby głównie pielgrzymów w 2. połowie VIII – pocz. IX w. Podczas gdy chluba współczesności, podziwiana w filmie i opiewana w literaturze francuska Autostrada Słońca [1960–1973], liczy raptem 448/456 km; żeby już nie wspomnieć o kunsztownej postmodernistycznej burlesce, zwanej „siecią autostrad”, w pewnym – jak się dziś czasem określa – dużym kraju Europy Środkowej,

[c] także uznawane za kolebkę nowożytności Wielkie Odkrycia Geograficzne (w tym sięgające ok. połowy XV wieku inicjatywy Henryka Żeglarza oraz późniejsze dokonania 3 podróżników, takich jak Diaz, Vasco da Gama, Cabral, a zwłaszcza rezultaty 4 wypraw Kolumba – co ciekawe, z udziałem w pierwszej Luisa de Torresy, arabskiego Żyda z Hiszpanii, jako tłumacza). Były one gwałtowną i nerwową odpowiedzią budzących się „tygrysów” katolickiej Europy nie tyle na stopniową arabską penetrację Afryki, ile raczej na impet aż 7 chińskich ekspedycji zamorskich w ll. 1414–1435 pod wodzą admirała Zhenga He, muzułmanina zresztą, do Indii, Persji i Afryki. Z udziałem imponującej – także pod względem technologicznym – floty (62 okręty transoceaniczne 120 m. długie, o ładowności 1500 ton, oraz ponad 100 statków mniejszych) z bardzo silną załogą (w sumie armia ok. 30 tys. ludzi). Wiele wskazuje na to, że asumptem do takiej (instytucjonalnej) anabazy chińskiej mogła stanowić rewelacyjna, acz całkowicie kameralna, seria też 7 wypraw arabskiego podróżnika z Tangeru Ibn Battuty [jego imieniem będzie nazwany po wiekach krater na Księżycu] w latach 1325–1355. Albowiem głośnych weneccjan nazwiskiem Polo, podróżujących do Chin w poprzednim, tj. XIII, stuleciu, pewnie tam już mniej – lub z innej strony – pamiętano, choćby z uwagi na wybór przez nich tradycyjnej trasy lądowej: odwiecznego i doskonale przećwiczonego Szlaku Jedwabnego. Nasuwa się tutaj dygresja: warto doprawdy wsłuchać się dzisiaj w ten osobliwy, bo jakby polemiczny wobec antycznego heksametru poematów m.in. Homera (w tym *Odysei*), najwyraźniej siedmiostopowy rytm późnośredniowiecznej, nadal mocno zagadkowej „epopei wypraw”, zawierającej swoistą kompozycję zdarzeń (rzeczywistych, tyle że powikłanych na kształt fabuł epickich) międzywilizacyjnych i transkontynentalnych.

– Ani średniowiecza zdumiewającej tolerancji – w tym kulturowej, a nawet religijnej [np. Al-Andalus, państwo Chazarów, Sycylia Rogera II, Wilhelma II i Fryderyka II].

Oto co napisał niedawno [2001–2002] Harold Bloom w przedmowie do książki Marii R. Menocal *Ozdoba świata. Jak muzułmanie, żydzi i chrześcijanie tworzyli kulturę tolerancji w średniowiecznej Hiszpanii* (2006): „Żydom i chrześcijanom z muzułmańskiej Andaluzji powodziło się doskonale, zarówno w dziedzinie materialnej, jak i kulturowej, pod rządami Omajjadów, których dynastię przeschępił z Damaszku do Kordoby (w r. 756 – E. Cz.) nieustraszony Abd ar-Rahman. <...> Nasza dzisiejsza wielokulturowość, niemoc naszych uniwersytetów i mediów, jest parodią kultury Kordoby i Grenady w jej pełnym rozkwicie” [s. XI–XII, przeł. Tomasz Teszner].

Będąc w oczach romantyzmu tak spłaszczony, spaczony i ułomny, bo pozbawiony co najmniej dwóch niezwykle ważnych wymiarów: racjonalnego i tolerancyjnego, choć zarazem tajemniczo piękne, średniowiecze siłą rzeczy przybierze w krążących stereotypach romantyzmu formy bardziej karkołomne i pozostawi specyficzne piętno na samym romantyzmie. Piętno w wielu wypadkach izolujące go od rozsądnej praktyki, wyobcowujące i antagonizujące [w imię urojonych „idei” czy „wartości” – z rzeczywistością, która jawi się obca i wroga; niejako ze wszystkimi Innymi i wszystkim, co inne]. W rezultacie owe formy odrastają ciągle jak grzyby po deszczu, tworząc wcale liczne – niespotykane już chyba poza Polską – skanseny romantyzmu, w których zamiast nowoczesnych dróg i stacji paliwowych straszą przy gościńcach rozpadające się kuźnie, gdzie wystarczy

podkuć konia, by z zaharowanego wałacha, zwierzęcia pociągowego, uczynić podobno ognistego, niczym w *Farysie*, rumaka.

Jeszcze gorzej, gdy stereotypy romantyzmu uparcie generują polskie zachowania (w rodzaju niektórych powstań, spisków czy innych akcji), które żywo przypominają, by nie rzec: naśladują, a to amatorską wyprawę [w celu odzyskania Grobu Św.] pod wodzą pobożnego Piotra z Amiens (1096), dopiero zapowiadającą „właściwe” krucjaty, a to dużo późniejszą (1212) żalosną Krucjatę Dziecięcą. Widać to może najlepiej w przypadku działań spiskowych rówieśnego romantykowi imiennika eremity jedenastowiecznego, ks. Piotra Ściegiennego [jeśli wierzyć choćby relacjom Szymona Tokarzewskiego]. Sto lat późniejsze Powstanie Warszawskie nie bez powodu odsyła wprost – w narracjach nie tylko pospolitych – do Krucjaty Dziecięcej. O przykładach nowszych zamilczmy.

Czy można się spodziewać zakończenia wreszcie tego bolesnego i zarazem tragifarsowego cyklu krucjatowego? Anachronizmu nie widać tu końca. Na bezdrożach stereotypu romantycznego wysychają studnie racjonalizmu, krajobraz stepowieje, a miejscami już pustynnieje. Zewsząd słychać ciągle tę samą śpiewkę, do złudzenia przypominającą kultową pieśń Konrada z *Dziadów części III* (akt I, scena I – tuż przed Małą Improwizacją) o romantycznym Upiorze Zemsty. Tyle że rzadziej w wersji oryginalnej – „szatańskiej” [według oceny Kaprała], częściej w wersji „krucjatowej” – ze złagodzoną częścią refrenu otwarcie bluźnierczą [„choćby mimo Boga!”, jak gdyby część pierwsza tegoż refrenu [„zemsta na wroga, / Z Bogiem”] była choć trochę bardziej prawomyślna, chrześcijańska i humanitarna. Czyż nie pretenduje ona przypadkiem do rangi przynajmniej „hymnu stadionowego”?

Zapewne potępi mnie świętoszek, rozpustnik wyśmiejże za publicystyczny prezentyzm, gdy z miejsc na Mazowszu tak szczególnych jak Żelazowa Wola [F. Chopina], Głuchy [C. K. Norwida] i Opinogóra [Z. Krasińskiego], należących do ważniejszych „gniazd rodowych” romantyzmu polskiego, drogą wiodącą właśnie przez uniwersytecki Żytomierz na Ukrainie, ośmielę się zwrócić z ekologicznym apelem o pilne odnawianie studni starych i budowanie nowych w procesie edukacji – na terenach wyeksploatowanych przez romantyzm „zamroczony” stereotypem i wiekiem („kogo wiek zamroczy”, *Oda do młodości*). Współczynnik racjonalności jest niezbędny do życia. Nawet dla romantyzmu. Inaczej ten ostatni, niegdyś „piękny i młody” jak Chłopiec w *Świteziance*, uschnie nam do reszty.

Евгеніуш Чаплеєвич. Романтичні амбівалентності – погляд із відстані.

Автор статті обговорює три питання, до яких можна звузити проблематику романтизму: характер конкретного явища, ідея романтизму та діагноз сучасності. Найбільш вражаючим і слушним, на думку автора, є подібність властивостей романтизму з характеристиками й можливостями хамелеона.

Yevgeniush Chapleyevich. Romantic ambivalences – look from the distance.

The author of the article describes three questions to those the romantic issues can be narrowed. They are the character of a concrete event, the idea of romanticism and the diagnosis of the Present times. To the author's point of view the similarity of the attributes of romanticism with the characteristics and abilities of chameleon.